

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Modlitwa za rodziców.

Kiedy w porannej rozmyślam godzinie,
Do Ciebie Boże modły me wznoszę,
Nad inną tkliviej jedna w niebo płynie,

Dłużej i rzewniej Cię proszę;
Ze łzą miłości wznoszę to błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

A prośbę taką Ty przyjmiesz tam w Niebie,
Ojcu i matce łask uczynisz swoich,
Bo modły dziecka mile są u Ciebie.

Ty błagań wysłuchasz moich,
Przed tron Twój Boże, wznoszę me błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

Oni to Boże, wiedli mnie do Ciebie,
A gdy Cię całym sercem ukochałem,
Boże mój Ojciec, który jesteś w Niebie.

W nich ja Twój obraz widziałem.
I z większą jeszcze czcią wzniosłem błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

Czucie miłości, co mnie łączy z nimi,
Tyś sam wlał w serce, niepojęty Boże!
Tyś sam zjednoczył węzłami świętymi,

Jakich nikt zerwać nie może;
Więc z wiarą w Ciebie wznoszę to błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

Niech własne dziecko Nieba im przychyli
A dni ich życia niech szczęściem otoczy,
A serca nasze w każdej życia chwili,

Niech święta miłość jednoczy.
O Boże wielki, przyjm moje błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

Dzieje Narodu Polskiego

OKRES V.

(Ciąg dalszy.)

**Jan Kazimierz królem obrany. Wojny
kozackie i szwedzkie.**

Po zgonie Władysława obrali Polacy jego brata Jana Kazimierza królem. Panowanie Jana Kazimierza było ze wszech względów dla Polski jak najnieszczęśliwsze. Można powiedzieć, że wtenczas było zasiane ziarno upadku Polski. Nietylko zagraniczni wrogowie Polskę srodze pustoszyli, ale i własni synowie na swą matkę zuchwałą rękę podnieśli. Ach! serce boli, gdy się pomyśli o tych smutnych, nieszczęśliwych dla naszego Narodu czasach.

Jan Kazimierz, wstępując na tron, był zniewolony toczyć wojnę z Kozakami. Łatwo było można tę wojnę uspokoić przez nadanie swobody Kozakom i wogóle Rusinom. Pragnęli oni, aby ich wiara grecka, schizmatycka była szanowana, aby panowie ich nie gnębili i aby biskupi schizmatycecy mogli zasiadać w senacie. Na to w żaden sposób biskupi polscy katolicy zezwolić nie chcieli, a szlachta, tak się ubiegająca o wolność dla siebie, nie chciała jej dać ciemiężonemu

ludowi. Za to samolubstwo też Bóg ciężko szlachę polską i cały naród polski ukarał.

Chmielnicki nie chciał się z początku od Polski odrywać, gdy jednakże nie zaspokojono słusznym jego żądan poddał się Moskwie, zatem wybuchła wojna z Moskwą. R. 1655 rozpoczęła się jeszcze wojna ze Szwecją, która ztąd początek wzięła, że Jan Kazimierz nie chciał się zrzec tytułu króla szwedzkiego. Gustaw Karól, król szwedzki, wciągnął jeszcze do przymierza przeciw Polsce elektora brandenburskiego i Jerzego Rakoczego, księcia siedmiogrodzkiego. Tak niemal równocześnie stanęło do walki pięciu nieprzyjaciół.

Szwedzi wkrótce całą Polskę opanowali. Szlachta wielkopolska stanęła w znacznej liczbie pod Ujściem nad Notecią, ale zamiast bić się ze Szwedem, zawarła z nim haniebną pokój, zabezpieczając sobie zachowanie swobód szlacheckich. Splamiała się tym postępkami szlachta, gdyż dbała tylko o własne dobro, o ojczyznę nie się nie troszcząc. Szwedzi zajęli wkrótce Kraków, Warszawę i całą Polskę, tylko Gdańsk i Częstochowa się trzymały. Jan Kazimierz uszedł z Polski. Szlachta wszystka poddała się Karólowi Gustawowi. Zdawało się, że już nadszedł upadek Polski, jednakże inaczej się stało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jaskółki.

Nad oknem francuskiego uczonego młoda para jaskółek jąła murować sobie gniazdko. Cuvier pilnie przypatrywał się i samym ptaszkom i ich robocie, a w końcu ich piskłotom. One też oswoiły się szybko z poważnym uczonym, który całymi dniami przesładywał w oknie nad księżką i nie ploszyły się wcale, gdy przy pomocy drabiny zaglądał do ich domku. To też następnej wiosny, kiedy jaskółki wróciły do opustoszałego gniazdko, Cuvier poznał zaraz w wychudzonych ptaszynach dawnych znajomych a one witały go miłym gędzioleniem, zakreślając błyskawiczne koła przed jego oknem.

Ale cały rok szczęścia, to rzadka rzecz w życiu ptasim — i nietylko ptasim. Po dniach pomyślności nastały dla jaskółek czasy niedoli. Pewnego ranka drapieżny jastrząb uderzył na samea — jaskółkę i byłby go zabił krzywym dzióbem odrazu, gdyby sam nie poniósł śmierci od celnego strzału Cuviera, który zobaczył przez

okno pościg jego za miłą ptaszyną. Nieszczęście jednak chciało, że parę ziarenek śrótu utkwilo i w skrzydełku jaskółki, która padła na murawę skrwawioną. Rana nie była przecież śmiertelna, i uczony francuski, opatrzywszy ją starannie, zaniósł chorą ptaszyną do gniazdko. Teraz przed jaskółką-samicą otworzyło się szerokie pole do pracy, do poświęceń, do okazania, ile tkliwości może się mieścić w szybko bijącym jej serduszkku. Nie odlatywała daleko od gniazdko, ale uwijała się żwawiej, niż kiedykolwiek, aby upolować tyle muszek, ile ich potrzebował chory towarzyszy. W wolnych chwilach natomiast, aczepiona o brzeg gniazda, świergotała na wpół wesóło, chcąc go pocieszyć, sprawić mu rozrywkę w cierpieniu.

Nawet w chłodne noce nie chroniła się do gniazdko, pozostawiając cały domek choremu, aby mu było wygodniej. Z Cavierem, który co dnia opatrywał skrzydełko jej towarzysza, oswoiła się zupełnie i dawała mu się brać w ręce, nie okazując obawy.

Ale najtroskliwsze zabiegi nie wróciły zdrowia biednej ptaszynie. Niknęła w oczach. A pewnego dnia żaloszny świergot i bicie drżących skrzydełek o szybę zbudziły Cavierra o brzasku. Domyślił się wnet katastrofy. Jakoż zajrzałszy do gniazdko, znalazł w niem martwą jaskółkę.

Żal pozostałej był nientulony. Przesładywała całymi dniami w gniazdko, nie radując się ani słońcu, ani wiosnie, — nie troszcząc się o pożywienie, przyjmując tylko to, co jej podawała życzliwa dłoń przyjaciela-człowieka. A po dniach kilku, zmęczona bólem i żalobą, zakończyła smutny żywot.

„Słowa Prawdy“

godne zapamiętania, a ze starych ksiąg wypisane.

Czyj duch przed Bogiem się koł,
Ten się tu losu nie boi,
Czy to w domu, czy w podróży,
Jemu ufać w niebo służy,
Tam gdzie pójdzie nieczem wróg.
Ale za to wszystkim Bóg.

Lepiej człeku być samemu,
Niż się przypatrywać złemu,
Sam się możesz w rozum zdobić,
Między złymi złym się zrobić.

O pracy.

Praca jest jedną z pierwszych powinności naszych, przez konieczną dla człowieka potrzebę, praca jest przeznaczenie naszem. Pracowita pszczołka, skrzętna mrówka, cała przyroda, układ towarzystwa tej prawdy nas ucza. Nikt od pracy nie jest wolny; król na tronie, oracz przy pługu pracować musi, i często niewiadomo, kto ego większe są trudy. W pracy jedyny jest sposób wypłacania się Bogu, rodzicom, ojczyźnie; do pracy więc zawczasu wprawiać się należy.

O, wy dzieci! które dopiero wstępujecie w zawód życia, wielkie macie przed sobą pole do pracy, a z nią wielkie was czekają obowiązki. Krótkie dotąd dni waszego życia nie pozwoliły wam prawdziwie oddać się pracy, wpisane przecież do niej jesteście waszem powołaniem do godności człowieka i wdzięcznością dla Stwórcy. Dotąd wiele osób dla was pracowało. Z chwilą urodzenia się waszego karmi was matka, strzeże, pielęgnuje, a ojciec się troszczy, żebyście miały co jeść, gdzie mieszkać, w czym chodzić. Rolnik ziemię potem zlewa, rzemieślnicy nie szczędzą rąk i zabiegów; ludzie uczeni dnie i noc nad nauką trawia, aby wam potrzebnych udzielić wiadomości; jednym słowem tysiące starańłożono dla was, a wy cóżeście uczyniły wobec tego? Lecz nie lękajcie się, dla was całe życie stoi otworem, abyście dopełnić mogły tego, co na was wdzięczność wkłada. Wprawiajcie się tylko do pracy, miłujcie ją, wypełniajcie z upodobaniem obowiązki włożone na was przez rodziców i nauczycieli, przewyciężajcie lenistwo, unikajcie próżniactwa. Niech każde z was rano wstaje, Niech się stara żeby żadnej chwili nie zmarnowało, pokończywszy pracę, niech szuka wytchnienia i spoczynku w przyzwoitej zabawie, nie zaś w gnuśnej bezczynności. Żałować trzeba chłopca, który z niechęcią do nauki się zabiera, a ukończywszy nauki czyli zadana pracę, siedzi w kącie z założonymi rękami, drzemie i się nudzi.

Taki chłopiec nie nauczy się nigdy być wieny Bogu, rodzicom i ojczyźnie, ani pięknem nie zasłynie imieniem u narodu i potomności. Dlatego, Działki, zabierając się do pracy, czyńcie to z zamiłowaniem, abyście, gdy starszego doczekacie się wieku, wiedzą i doświadczeniem wzbogacone, umiały wypłacić dług wdzięczności rodzicom i przez wypełnianie obowiązków względem Boga i ludzi stanąć mogły z chwałą i zasługą wobec Stwórcy swojego.

Dzień dobry.

W dzikiej puszczy, która miała wiele mil długości i szerokości, stała osobna karczemka; w karczemce mieszkał gospodarz niski, barczysty, z rudą brodą do pasa i z oczyma krwią zabiegłymi. Był to łotr zawołany, zwyczajnie przyjmował bardzo grzecznie podróżnych, lecz w nocy wstawał, budził ich i mówił: — Wstawajcie panie podróżny! już czas do drogi, ja was przeprowadzę, abyście nie zblądziili w puszczy.

Biedny podróżny słuchał karczmarza, siedł z nim w głąb lasu i tam, gdzie się najmniej spodziewał, zwykle bywał napadnięty od złodziei i obdarty. Złodzieje dzielili się z karczmarzem, który z nimi był w zмовie.

Pewien mędrzec zmuszony odbywać tę drogę, przyszedł na noc do owej karczmy na puszczy. Zaledwie północ była minęła, kiedy karczmarz wszedł do izby i budząc, mówił do mędrca:

— Gotuj się pan do drogi, przeprowadzę was, abyście nie zblądziili.

— Le starzec nie w ciemności bity, przeczuł jakąś zdradę i odpowiedział:

— Niemogę tak wcześnie wychodzić albowiem czekam na przyjaciela, którego tylko co nie widać.

— Ależ gdzież ten przyjaciel? — zapytał ciekawy karczmarz.

— Dopiero wieczorem rozstaliśmy się, ale niebawem nadejdzie — odparł mędrzec.

— Jakżeż się nazywa? — znowu spytał ciekawy.

— Nazywa się Dzień dobry.

Usłyszawszy to karczmarz, przez resztę nocy chodził po boru i ciągle nawoływał:

— Panie Dzień dobry! Panie Dzień dobry! przybywaj, czeka na ciebie przyjaciel!

Nikt jednak nie odezwał się na jego wołanie. Gdy ranek zaświtał, mędrzec wstał, osiodłał sobie osielkę i zabierał się w drogę.

Karczmarz go spytał:

— A gdzież ów przyjaciel? czyż nie czekacie na niego?

— Właśnie co przybył — odparł ze śmiechem mędrzec. — Mój przyjaciel jest to Dzień, przydomek jego dobry, bo opiekuje się podróżnymi i chroni ich od zdrad i przypadków; bez tego przyjaciela nigdy nie puszczałem się w podróż.

Kościół.

Piękne i wysokie bywają domy w mieście, miłe choć skromne mogą być chaty i dworki wiejskie, lecz zarówno na wsi, jak i w mieście najwspanialszy gmach przeznaczony jest na chwałę Boga, najpiękniejszym domem jest kościół. Tutaj bogaty i ubogi, stary i młody klęczą w pokorze, jak dzieci jednego Ojca, i zanoszą gorące modły do Stwórcy. Przed ołtarzem odprawia kapłan Mszę świętą, na chórze wygrywa organista na organach nabożne pieśni, lub cały zanosi w śpiewie swe prośby do Ojca w niebiesiech.

Każda rzecz w świątyni przejmując się uszanowaniem; gdziekolwiek rzucisz okiem, wszędzie panuje uroczysta powaga, godna wszechmocnego Boga, ku czci którego gmach cały wzniesiono. Piękne obrazy Świętych Pańskich, złożone ołtarze, kolorowe okna, ogromne sklepienia, woń kadzideł — to wszystko ci przypomina, że jesteś w świątyni Pańskiej, że masz się zachować z pokorą i przyzwoitością. Gdy wejdiesz w jej progi, skłoń się, przeżegnaj, uklękni, wydobądź książeczkę do nabożeństwa i chwal Stwórcę modlitwą.

Modląc się, myśl o słowach, które wymawiasz i przeniknij się uczuciem, w nich wyrażonem. Myśl, że Pan Bóg na ciebie patrzy, że nie tylko słyszy, co mówisz, lecz nawet żadna myśl twoja nie jest Mu tajną, a niczem *[Go]* bardziej obrazić nie można, aniżeli modlitwą odmawianą tylko usty, nie sercem. Jeżeli gniewasz się, złościsz, dokuczasz swym braciom, siostrom i kolegom, jeżeli masz serce nieczułe na nędzę, jeżeli najdrobniejszej urazy nie chcesz bliżnim swym przebaczyć, jakimże czołem mówisz słowa modlitwy: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“? Jeśli szczerze pragniesz chwały Bożej, powinienes naprzód wzbudzić w sobie żal serdeczny za swe winy, pojednać się z braćmi swymi i kolegami; potem dopiero uklękni do pacierza, a Bóg szczerą modlitwę wysłucha, bo najwspanialszą jego świątynią — jest czyste i niewinne serce dziecka.

Dobrzy sąsiedzi.

Syn wiejskiego młynarza, mały jeszcze chłopiec, zbliżył się za bardzo nad brzeg rzeki i wpadł w wodę.

Byłby bez wątpienia utonął, gdyby nie kowal mieszkający po drugiej stronie, który będąc świadkiem tego nieszczęśliwego wypadku, zaraz rzucił się do wody, wydobył dziecko i odniósł je ojcu.

W rok później pożar wybuchnął u kowala i zanim się tenże spostrzegł, już cały dom stał w płomieniach. Potrafił jednak wyratować żonę i dzieci, tylko o najmłodszej córeczce w pierwszej chwili zapomniał. Słyszano wśród płomieni krzyk biednej dzieciny, ale nikt nie miał odwagi rzucić się na jej ratunek. W tej okropnej chwili nadbiegł młynarz, i nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, wpadł do walącego się już domu, i szczęśliwie wyniósłszy dziecko, złożył je w ręce kowala mówiąc:

— Składam dzięki Panu Bogu, który mi pozwolił w ten sposób ci się wywdzięczyc. Przy Jego pomocy wyratowałeś mi z wody syna, ja zaś córkę twoją od płomienia ustrzegłem.

Wspieraj bliźniego w dotkliwej potrzebie,
Ratuj go, z życia nieszczędząc ofiary;
Bliźni nawzajem poratuje ciebie:
Bóg wynagrodzi dobroczynne dary.



Ubogi i szczęście.

Pewien ubogi, co w nędznym żył stanie,
Raz kopiąc ziemię w pocie swego czoła,
Syt już swej biedy, szczęście w pomoc woła
I szczęście przyszło na jego żądanie:
Bo gdy tak nędzą swoją się kłopotą,
Wykopał duże dwa kawały złota.
To bez wątpienia hojne szczęścia dary,
Gdyby je tylko dobrze użyć umiał...
Lecz on się o tem wcale nie rozumiał;
Sądził, że to był jakiś mosiądz stary,
Za małą kwotę sprzedał je pieniędzy
I żył, jak dotąd, dalej w ciężkiej nędzy,
I wciąż się z myślą lepszej doli nosił,
I zawsze szczęście o ratunek prosił...
Lecz na te prośby szczęście mu odrzeczło:

„O, nierozsądny! nieporadny człeczko!..
Przestań mnie ciąglem przyzywaniem nużyć,
Boś mię miał w ręku, a nie umiał użyć!
Byłeś bogaczem wśród nędzarzy tłumu —
Nie moja wina, żeś nie miał rozumu...
Toż proś o rozum — radzę ci nieboże —
Gdzie jego nie ma, — szczęście nie pomoże!...“

